

Jak Polacy patrzyli na getto z zewnątrz

Z profesorem Jerzym Tomaszewskim rozmawia Jakub Petelewicz

Jakub Petelewicz: Panie Profesorze, w czasie wojny mieszkał Pan w Warszawie, nie sposób było wówczas nie stykać się z Żydami. Jak Pan, wówczas 9–10-letni, a potem nastoletni chłopiec, ich postrzegał, jak w Pana pamięci zapisały się stosunki polsko-żydowskie w okupowanej Warszawie?

Jerzy Tomaszewski: Przede wszystkim muszę uściślić, że ja nie jestem z Warszawy, tylko z małych miasteczek, gdyż przed wojną mieszkałem w kilku. Ojciec mój był inspektorem PZUW [Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych – J.P.] i parę razy przenoszono go służbowo z jednego miasteczka do drugiego. Wobec tego miał dosyć skromne kontakty w środowiskach lokalnych, często raczej oficjalne, zawodowe, a z Żydami stykaliśmy się w sposób marginalny. Siłą rzeczy Żydów spotykałem na ulicy, gdyż w Mińsku Mazowieckim mieszkaliśmy nie tak daleko od synagogi (to jest moja dzisiejsza wiedza), a za murem otaczającym ogród był cmentarz żydowski. Jak się szło w kierunku centrum miasta, na ulicy spotykaliśmy tradycyjnie ubranych Żydów, zwracali uwagę czarnymi strojami i charakterystycznymi czapkami. Zapamiętałem to jako zjawisko normalne, tradycyjni Żydzi stanowili nieodłączną część społeczności. Pamiętam też ubogie sklepiki żydowskie. Nie miałem kontaktu z antysemityzmem, z wyjątkiem jednego przypadku. Sąsiad, który mieszkał w tym samym domu, pokazywał mi jakieś antysemickie obrazki. Wywołało to oburzenie ojca i w pamięci została mi duża awantura. Zdarzenie to bardziej pamiętam z uwagi na awanturę, a nie z powodu karykatur. Ojciec przed pierwszą wojną światową był w PPS, a ów sąsiad najprawdopodobniej – jak dzisiaj sądzę – endekiem. I tak się wyczerpuje moja pamięć z okresu międzywojennego.

J.P.: A okres wojenny?

J.T.: W czasie wojny mieszkaliśmy już na Żoliborzu, co też od razu określa sytuację. Bo to dzielnica o charakterze socjalistycznym, co miało w tym kontekście bardzo istotne znaczenie. Po drugie, ze względu na młody wiek miałem przede wszystkim kontakty podwórkowe i szkolne, też raczej ograniczone, gdyż mieszkaliśmy w domu PZUW, a do szkoły powszechnej chodziłem na Żoliborzu przy ulicy Książnina, blisko domu, następnie nielegalne gimnazjum miało sekretariat w piwnicy przy placu Inwalidów. Wprawdzie stąd nie tak daleko do Muranowa, ale wycieczki „do miasta” były rzadkie, bo to w końcu okupacja.

Mój pierwszy kontakt z polityką hitlerowską miał miejsce jeszcze przed Żoliborzem. To było na jesieni 1939 roku, mieszkaliśmy jeszcze w Radości. Początek okupacji witało się z pewnym niepokojem, co nastąpi. Pamiętam, że był w Radości sklepik, na którym późną jesienią pojawił się napis: „Sklep żydowski”. Być może sformułowanie było inne, ale pamiętam, że był to element, który od razu go wyróżniał. Coś,

czego do tej pory nie widziałem. To był mój pierwszy namacalny kontakt z zarządzeniami hitlerowskimi. Ów sklep oznaczony jako coś specjalnego, wyróżniającego się. Dobrze pamiętam, że było to dla mnie coś, co dostrzegałem jako złe, a przy tym niezrozumiałe. Nie potrafiłem zrozumieć, co się dzieje.

J.P.: A czy rozmawiało się o tym w domu, na podwórku, w otoczeniu?

J.T.: W domu nie było raczej po temu warunków. Ojciec był wtedy bardzo chory, właściwie umierający (umarł w styczniu 1940 r.). Nie, nie przypominam sobie, aby były jakiegokolwiek rozmowy na ten temat.

J.P.: A na podwórku, w otoczeniu?

J.T.: Nie, nie przypominam sobie tego. Zresztą mój ojciec był przed pierwszą wojną działaczem PPS-u i te sympatie pozostały, co wykluczało jakąkolwiek ideologię antysemitką. W Warszawie mieszkaliśmy wśród pracowników PZUW, który *nota bene* także był mocno socjalistyczny, więc i tam jakieś antyżydowskie wystąpienia nie były możliwe. Taki problem nie istniał. Jedyna negatywna sytuacja, jaką sobie przypominam, jest wcześniejsza. Wiosną roku 1939 chodziłem, krótko zresztą, do elitarnej szkoły powszechnej w alei Szucha. Był w klasie chłopiec z jakiejś zamożnej i spolonizowanej rodziny żydowskiej. Szybko dostrzegłem, że znajdował się na marginesie klasy. Ja także byłem na uboczu, ale z innych powodów – moja ciotka była nauczycielką w tej szkole, uczęszczałem tam zresztą krótko.

J.P.: Jakie są wspomnienia Pana Profesora z okresu przed utworzeniem getta, jak wtedy wyglądały relacje Polaków z Żydami?

J.T.: Wspomnienia właściwie żadne. W zasadzie to przejazd tramwajem przez ulice żydowskie. Koło Arsenalu się jechało, linia tramwajowa przecinała sławne Nalewki. Widziałem dzielnice biedne i dzielnice nieco bardziej zamożne, zatłoczenie ulic, zwykłych ludzi, może nieco inaczej wyglądających z powodu biedy. Musiałem mieć wcześniej jakąś wiedzę o oznakowaniu opaskami. Nie przypominam sobie jednak skąd. Mam wrażenie, że to szybko stało się normalnym elementem nienormalnego życia. Niewiele mogę powiedzieć o owych relacjach, gdyż moje styczności z Żydami były bardzo ograniczone. Na Żoliborzu uczęszczałem do szkoły powszechnej, blisko domu, gdzie mieszkaliśmy. W naszej klasie był kolega – Grzesiek Fürstenberg, który pochodził z zamożnej, całkiem spolonizowanej rodziny i mieszkał niedaleko. Pamiętam dzień, gdy na podwórku pojawiła się wiadomość, że przyjechał po nich jakiś samochód i całą rodzinę zabrano do getta. I to pamiętam, że była to dla wszystkich wstrząsająca informacja. Przyniosłem do szkoły wiadomość, co wywołało wstrząs.

J.P.: Rozumiem więc, że wiadomość o przesiedleniu Fürstenbergów do getta „podwórko” i „szkoła” odebrały jako coś strasznego. A z czego wynikała owa „straszność”?

J.T.: To już było po zamknięciu getta. Wiadomo było o panującym tam głodzie i fatalnych warunkach. Więc była świadomość, że zamknięcie w getcie to katastrofa dla sympatycznego kolegi i jego rodziny, co stanowiło rzeczywiście wstrząs dla całej klasy. O tym się rozmawiało, komentowało i współczuło koledze. Nawiasem mówiąc, całkiem niedawno udało mi się dowiedzieć, że dzięki przyjaciołom udało im się dostać z getta i cała rodzina przeżyła Zagładę. Bodajże ojciec pracował w jakiejś instytucji finansowej, stąd były znajomości, które umożliwiły ratunek. To było pierwsze moje bezpośrednie zetknięcie się z zagrożeniem, które wisiało także nad sąsiadami.

J.P.: Wspominał Pan Profesor o utworzeniu, a potem zamknięciu getta. Jak Pan zapamiętał ten moment? Gdzie w życiu normalnych warszawiaków byli Żydzi, gdzie było getto? Czy to były zupełnie inne światy?

J.T.: Nie potrafię powiedzieć jak ja to odbierałem. Jakieś informacje do mnie docierały na pewno, jednak nie pamiętam żadnych szczegółów. Podobnie jeśli chodzi o otoczenie.

J.P.: Czy możemy zatem zaryzykować stwierdzenie, że to nie było nic istotnego dla Waszego życia i ostrzegania otaczającego świata? Nic, o czym się rozmawiało i dyskutowało?

J.T.: Nie. Ojciec nie żył, matka była zapracowana i bardziej skupiona na tym, aby nas utrzymać. Na pewno w domu się o tym nie rozmawiało. W domu mieliśmy na co dzień inny problem, niedostatek jedzenia. Na podwórku raczej też tego nie komentowaliśmy. Raz jeszcze podkreślę, że to było specyficzne i dożyć izolowane środowisko domu PZUW; „miasto” rzeczywiście było od Żoliborza oddalone. Choć Muranów był niedaleko, ale oddzielony torami i stacją kolejową. Nie potrafię określić kiedy, ale w pewnym momencie była świadomość, być może w rezultacie zasłyszanej rozmowy, bo nie sądzę, aby to była własna refleksja, że getto jest jakąś katastrofą. Była wśród nas także świadomość, że „oskarżenie” o bycie Żydem jest czymś bardzo groźnym dla osoby, w ten sposób określonej.

Pamiętam sytuację związaną z moim kolegą z klasy, z którym się przyjaźniłem. Pochodził z rodziny żydowskiej, co wtedy oczywiście było głęboko skrywaną tajemnicą. Nie pamiętam teraz, który to był rok, ale na pewno już 1941 lub 1942, kiedy ktoś przy mnie wspominał, chyba była to matka, pytając mimochodem, czy to czasem nie jest Żyd. Gorąco zaprotestowałem, że w żadnym wypadku nie, aczkolwiek przypuszczałem, że to jest możliwe.

J.P.: To znaczy, że była już ta głęboko zakorzeniona świadomość zagrożenia, jakie ściąga takie oskarżenie. Rozumiem, że było to już po wywiezieniu do getta Fürstenbergów i wstrząs, jaki ono wywołało. Ciekawe wydaje mi się to, że nawet wobec matki starał się Pan Profesor chronić swojego szkolnego przyjaciela przed pomówieniem o „żydostwo”.

J.T.: Tak, owa świadomość była. Nie był to problem rodzinny, ale świadomość, że o pewnych rzeczach nie należy mówić, gdyż a nuż ktoś usłyszy. Jeżeli nawet o czymś wiemy, lub domyślamy się, to milczymy. O pewnych rzeczach lepiej było nie wiedzieć, aby przez przypadek się nie „wygadać”. Nawiasem mówiąc, to była generalna zasada konspiracji, wynikająca także ze szkoły. Wiadomo było, że pewne książki i pewne lekcje są zakazane i nie należy o nich wspominać.

J.P.: A wracając do getta i jego recepcji?

J.T.: Pamiętam, że w 1942 roku już były ogłoszenia, „Bekanntmachung”, grożące śmiercią za ukrywanie i pomoc Żydom. To już oczywiście wszyscy wiedzieli i to się komentowało. Raczej jednak nie w tonie pomagać czy nie pomagać, ale bardziej ogólnie jako kolejne zagrożenie ze strony okupanta.

Nie pamiętam dokładnie, który to był rok, ale ze szkołą obowiązkowo musieliśmy odwiedzić propagandową, objazdową antysemityczną wystawę niemiecką. Wrażenie moje, jak i całej klasy było raczej niewielkie. To znaczy do dzisiaj pamiętam jakieś plakaty i slogany antysemityczne z prymitywnymi rysunkami, czasami reprodukowanymi dziś w pracach historyków. Nie pozostawiało to jednak wrażenia propagandowego, zamierzonego przez okupanta. Traktowaliśmy odwiedziny wystawy jako kolejny przymus niemiecki. Raczej zasada była taka, też wyniesiona z domu i podwórka, że to, co propaganda niemiecka głosiła, należy traktować jako fałsz, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

J.P.: Czy Pan Profesor miał bezpośrednią styczność z gettem? Jak Pan zapamiętał swoje wrażenia i reakcje otoczenia?

J.T.: Jak już wspominałem, czasem, gdy jechało się do „miasta” tramwajem, trasa jego wiodła przez getto, tuż za Arsenalem, dalej Nalewki (których już nie ma), więc widać było co się tam dzieje. Tłok, tłum ludzi skrajnie ubogich. Moje i otoczenia reakcje i wrażenia? Przede wszystkim przerażenie. Jak wygląda sytuacja ludzi tak stłoczonych. Widać było nędzę, strażników niemieckich pilnujących, aby czasem ktoś niepowołany się nie dostał do tramwaju lub z niego nie wydostał, a także plotki, że niektórym udawało się coś wyrzucić z tramwaju na gettową ulicę. Pamiętam poczucie zagrożenia niemieckiego. I to zarówno dla nas zwanych „aryjczykami”, jak i dla Żydów.

J.P.: Czyli w sferze odczuć i reakcji przerażenie i współczucie?

J.T.: Tak, no i w sumie nic więcej. Bliższy kontakt z mojej strony był ograniczony, jak już wspominałem, miejscem zamieszkania i tym, że matka trzymała mnie dosyć krótko, abym nie pakował się w kłopoty. Także samotne wyprawy do „miasta”, a więc możliwości bliższych kontaktów raczej nie wchodziły w grę.

Pamiętam jednak sytuację, kiedy w okolicznych otwartych terenach, gdzie były jakieś krzaki, glinianki, stare piwnice, fundamenty domu nieskończonego, zobaczyłem ukrywającego się chłopca żydowskiego, uciekiniera z getta. Chłopak może w moim wieku, może młodszy siedział gdzieś tam w głębi piwnicy, przerażony, my zresztą także. Patrzyliśmy na siebie i nie wiadomo było co zrobić. Wiedzieliśmy, że groziło mu niebezpieczeństwo, a jakkolwiek pomoc także nam. Nasze mieszkanie składało się z pokoju z kuchnią, dom parokrotnie otaczała żandarmeria i przeprowadzano u wszystkich rewizje, schowków w mieszkaniach nie było – nie było więc gdzie schować. Nie pamiętam zresztą, czy wówczas myślałem w tych kategoriach. Jedyne co pamiętam to bezradność wszystkich dzieci wobec tej sytuacji. Następnego dnia chłopca w piwnicy nie było, chyba nie został wówczas złapany, gdyż na podwórku byłoby wiadomo.

J.P.: A czy nie było takiego odruchu, aby zawiadomić o tym Niemców, policję granatową, aby odsunąć to zagrożenie?

J.T.: Nie, absolutnie nie. To było grono dzieci, które nie miały takich myśli. Nie spotkałem żadnej reakcji negatywnej. Raczej ta bezradność i poczucie, że właściwie my nie możemy nic zrobić.

J.P.: Przy czym była już w was świadomość, że on jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie?

J.T.: Tak. Zdecydowanie.

J.P.: A okres powstania w getcie? Jak Pan Profesor zapamiętał wydarzenia i sytuację z tym związaną?

J.T.: No cóż, że coś się zaczęło, wiedzieliśmy bardzo szybko, bo Muranów nie jest tak daleko. Było słyhać strzały i wybuchy. W końcu jedna z pierwszych potyczek miała miejsce właśnie w okolicach ulicy Muranowskiej, a na placu Wilsona było doskonale słyhać co się tam dzieje. O tym, że jest to powstanie i że Żydzi walczą z Niemcami, dowiedzieliśmy się też bardzo szybko, najpewniej z wieści ustnych, które rozprzestrzeniały się szybko.

J.P.: A przed powstaniem w getcie czy też w jego trakcie myślano, czy też przypuszczano, że Niemcy chcą wymordować wszystkich Żydów?

J.T.: Nie pamiętam takich twierdzeń. Raz jeszcze powtórzę to, o czym już wspominałem – mianowicie by-

ła świadomość, że getto jest skazane na zagładę. Powstanie w getcie z jednej strony traktowano jako coś, co oznacza koniec, ale z drugiej żywiłem naiwną, absurdalną nadzieję, że może jednak się uda.

J.P: A jakie były komentarze wobec eksterminacji Żydów?

J.T: Matka raz wspomniała z oburzeniem, jako wiadomość zasłyszana, że ktoś powiedział, że „to dobrze, że Niemcy za nas załatwiają sprawę żydowską”. Nie jestem teraz pewny, czy to było już w okresie powstania czy wcześniej. Dosyć, że stosunek do tego rodzaju twierdzeń w naszym domu i środowisku pracowników i rodzin PZUW był zdecydowanie negatywny.

J.P: A stosunek do walki toczonej przez nich z Niemcami?

J.T: Raczej pozytywny, traktowany właśnie jako walka z okupantem. W naszym środowisku podwórkowo-szkolnym była jakaś naiwna nadzieja, że być może się uda. Coś się wreszcie dzieje, po kilku latach okupacji ktoś staje przeciwko Niemcom. Nie wiedzieliśmy wprawdzie dlaczego, skąd, o co dokładnie chodzi, jakie są szanse i siły, ale dobrze pamiętam to oczekiwanie, że może wreszcie coś się uda. Oczywiście z dzisiejszej perspektywy wiemy, że była to raczej walka o godną śmierć, ale wtedy wiadomości o tym, że ktoś bije Niemców, budziły nadzieję. Na dodatek docierały plotki o sukcesach powstańców, jakkolwiek drobnych. Nawet po likwidacji getta i upadku powstania były takie, znów to powiem z dzisiejszej perspektywy, naiwne głosy, że jeszcze się tam jacyś ludzie ukrywają. Czasami słychać było strzały. Dziś wiemy, że były to egzekucje, a nie walka. Potem już od strony getta nie dobiegały żadne odgłosy.

J.P: A jakieś osobiste doświadczenia Pana Profesora z okresu powstania w getcie?

J.T: Pamiętam, gdy razem z moim przyjacielem, o którym wcześniej wspominałem, z dachu naszego domu obserwowaliśmy płonące getto. Patrzyliśmy na dymy, na płomienie, to nie było tak daleko do Bonifraterskiej. Wiatr przynosił strzępy nadpalonych gazet żydowskich. Skąd wiedziałem, że były żydowskie? No cóż, z literami hebrajskim człowiek w końcu stykał się przed wojną nawet na ulicy, na szyldach sklepów chociażby. A że z getta? Tam trwała walka, getto płonęło, a one nadlatywały razem z dymami, swądem spalenizny od strony Muranowa. Myśmy patrzyli przerażeni, bez słowa, bez możliwości zrobienia czegokolwiek.

J.P: Nie było żadnej rozmowy, komentarza?

J.T: Nie, nie pamiętam. Trudno mi ocenić, jakie były jego reakcje. Chyba jedyną rzeczą, o której rozmawialiśmy, którą komentowaliśmy, to była wiadomość, którą on przyniósł, że nad gettem powiewa biało-czerwona flaga.

J.P: A to ciekawe. Tylko biało-czerwona?

J.T: Nie odpowiem, bo nie pamiętam. Być może nie tylko, ale w pamięć wryła mi się ta biało-czerwona i fakt, że o tym rozmawialiśmy.

J.P: A więc okres getta i powstania to jak już wspominaliśmy współczucie?

J.T: Tak, i obok tej nadziei, o której wcześniej mówiłem, także przerażenie konsekwencjami, tym, co się tam dzieje i jak to się zakończy, co się dalej może stać.

J.P.: A czy owo przażenie miało swoje następstwa w odniesieniu do siebie samego, do Polaków? Mam na myśli te pojawiające się po wielekroć w wojennych wspomnieniach prorocstwa, że „Hitler najpierw wykończy Żydów, a potem zabierze się za nas”?

JT: Trudno mi w tej chwili powiedzieć. Ale chyba tak, nawet na pewno słyszało się głosy tego rodzaju, że to jest element planu niemieckiej polityki okupacyjnej na tych terenach. Ale bez bezpośredniego poczucia zagrożenia, że to już. Wobec tego, co się działo w mieście, wobec getta, deportacji, powstania i jego likwidacji dosyć szybko można było się przyzwyczaić do stopniowania zagrożeń i wydarzeń, które się dzieją nieopodal. Stawały się czymś normalnym, czymś, co towarzyszy w codziennym życiu. Od jesieni 1939 roku i pierwszych rozstrzelanych w Wawrze (to blisko Radości) dokonywało się stopniowanie okrucieństw ze strony Niemców, które stawały się zjawiskiem powszednim. Wiadomo było, że jest getto, jest zagrożenie dla Żydów. Poza gettem są łapanki, toteż należy uważać i unikać Niemców, są aresztowania, rozstrzeliwania, obozy. To powoli stawało się „normalnym” elementem codzienności.

J.P.: Panie Profesorze do trudnych problemów naszej wojennej historii należy to, co Andrzej Żbikowski nazywa „negativami”. Mam tu na myśli te zachowania, które w swoich książkach piętnują Barbara Engelking-Boni i Jan Grabowski – denuncjatorów, szantażystów, szmalcowników, ba, nawet morderców. Czy miał Pan Profesor styczność z takimi zjawiskami lub wiedzę o nich? Czy mówiono o tym? Jaki był stosunek Polaków do tego typu zachowań i postaw?

JT: Nic konkretnego. Oczywiście poza stałym przeświadczeniem, że ktoś może donieść, takie ciągłe napięcie uwagi. To było wszechobecne. Zwłaszcza w odniesieniu do wspomnianego wcześniej przeze mnie przyjaciela ze szkoły, co do którego mogły pojawić się podejrzenia, że jest Żydem. To zresztą dotyczyło nie tylko spraw żydowskich. Ale była świadomość zagrożenia, w odniesieniu do Żydów zwłaszcza. Natomiast bezpośrednio styczności z szantażem, denuncjacją nie miałem. Wiadomo było, że w naszym domu Niemcy aresztowali dozorcę (należał do konspiracji socjalistycznej) z powodu donosu. Mieliśmy poczucie, że należy uważać zwłaszcza na nieznanne osoby, które mogą okazać się donosicielami. Zarazem, że w razie czego można liczyć w naszym otoczeniu raczej na pomoc, ale lepiej jej nie potrzebować, lepiej nie ryzykować.

J.P.: Z tego, co Pan Profesor mówi, można wysnuć wniosek, że jeżeli zdarzyłaby się sytuacja ukrywania kogoś po stronie „aryjskiej” w Waszym otoczeniu mógłby się czuć raczej bezpieczny? Pewnym potwierdzeniem jest fakt, że Pański kolega ze szkoły ocalał. Czy w związku z tym były w Warszawie miejsca bardziej niebezpieczne? Miejsca, gdzie Żydzi byli bardziej zagrożeni zdemaskowaniem, miejsca, gdzie te stosunki z Polakami były gorsze?

JT: Sądzę, że tak. Na pewno te stosunki w dzielnicach układały się rozmaicie. Choć podkreślam, że ja mam orientację w sprawach żoliborskich. Na pewno Śródmieście czy Mokotów, którego częścią miała być dzielnica niemiecka, były z pewnością bardziej niebezpieczne.

J.P.: Gdyby chcieć określić stosunek Pańskiego Żoliborza do Żydów jednym sformułowaniem, jak można by je ująć?

JT: No cóż, myślę, że najlepiej można by to podsumować stwierdzeniem, że do Żydów podchodziliśmy jak do ludzi, którzy są wokół. Bez żadnych uprzedzeń, nawet o wielu kwestiach z okresu wojennego, czy

Rozmowa z Jerzym Tomaszewskim

przedwojennego o antysemityzmie, bojkocie, getcie ławkowym itp. sprawach dowiedziałem się dopiero po wojnie z rozmaitych lektur. Przypadek zrządził, że już po wyzwoleniu kilka miesięcy chorowałem dosyć poważnie, a piętro niżej mieszkał nauczyciel, który miał niemal komplet „Wiadomości Literackich”. Były bardzo pouczającą lekturą i pewna wiedza wyniknęła dopiero z tego.

Generalnie, przynajmniej w mojej pamięci, nie zachowały się ani znacząco lepsze, ani gorsze wydarzenia, które na tę ocenę mogłyby wpływać.

J.P.: Dziękuję.